

1868. **Rok II.**

Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow."
rocznie . . . . **8** złr. — ct.
półrocznie . . . . **4** „ — „
ćwierćrocznie . . . . **2** „ — „
Pojedynczy numer . . . . — „ **20** „

Nr. 1.
5. Stycznia.

Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową
rocznie . . . . **8** złr. **50** ct
półrocznie . . . . **4** „ **30** „
ćwierćrocznie . . . . **2** „ **20** „
W w. ks. Poznańskiem ćwierćrocznie **1** tal. **15** sgr.
We Francji — ćwierćrocznie . . . . **6** franków.

Artur Grottger.

Smutno to patrzeć na gasnące młode życie, o ileż smutniejsza gdy z tem życiem gaśnie talent z genialnem usposobieniem.

Gdy pomyślimy że Grottger zgasł mając ledwie lat 30, a tyle już zdziałał w tym krótkim żywocie i gdy porównamy jego żywot z 72letniem życiem n. p. Kaulbacha, to zdaje się nam, że śmierć położyła tamę na pół wieku w postępie sztuki narodowej, przynajmniej w tym jednym kierunku, w jakim pracował Grottger.



Artur Grottger † 12. Grudnia 1867.

Z tych prac które Grottger wykonał w przeciągu ostatnich lat sześciu i z szybkiego postępu jaki czynił talent olbrzymiemi krokami, można wnioskować, że przy dłuższem życiu byłby usprawiedliwił nasze zestawienie jego imienia z Kaulbachem. Nie myślimy wszakże przez to bynajmniej wyrokować o pokrewieństwie tych dwóch talentów. Owszem obeznani dokładnie z najnowszą sztuką w ogóle a z rozwojem talentu Grottgera w szczególe, są zdania że zdawał się on wstępować w ślady Delarocha.

Krótki żywot artystyczny Grottgera nastręcza tyle przedmiotu dla krytyki sumiennej i wytrwanej, że nie możemy się o takową bynajmniej pokusić w tem pośmiertnem wspomnieniu o nim. Nam wypada podnieść jedną cechę, która może w ściśle artystycznem ocenieniu nie będzie odgrywała głównej roli. Grottger jest malarzem naszej ostatniej epoki dziejów narodowych. Tragedja z lat 1861 do 1865 stworzyła tego artystę i jeżeli ją małoduszne umysły dla jakiejkolwiek innej przyczyny lekceważą, to tej jednej żywotnej cechy odmówić jej nie mogą, że w dziedzinie sztuki wskrzesiła dla nas nową potęgę. Nie mamy tu samego tylko Grottgera na myśli, ale jego przeważnie, bo on uwiecznił wszystkie zapały i boleści narodu z ostatniej epoki. Nazwalibyśmy go malarzem politycznym, gdyby ten rodzaj malarstwa nie był tak zdyskredytowanym przez mnóstwo dorywczych ramot artystycznych po pismach ilustrowanych i wystawach kupieckich. Pominąwszy niezmierną wyższość prac Grottgera nad tego rodzaju robotami tak pod względem kompozycji, jak wykonania, mają one jeszcze i tę zaletę, że nie są bynajmniej tendencyjne. Grottgerowi nie chodziło o wystawienie okrucieństw moskiewskich ani nawet o wystawienie bohaterskiego ducha naszych powstańców. Waleczność była tylko objawem wewnętrznej potęgi narodu, okrucieństwo zaś objawem zwierzęcego oporu przeciwko tej niezwalczonej potędze. Tę to potęgę maluje Grottger i opowiada ją w obrazach jakby w epopei pełnej grozy dantejskiej.

Bardzo młodym jeszcze będąc zwrócił Grottger na siebie uwagę rysunkiem przedstawiającym cesarza austryackiego z grupą jenerałów podczas jego pobytu we Lwowie. Byłato igraszka pacholęcia, a jednak już w niej się przebijała iskra geniusza, która zjednała mu protekcję i stypendjum w celu dalszego kształcenia się w Wiedniu.

Jak każdy wyższy umysł, był Grottger bardzo niepomnym na swoje materjalne powodzenie. Grosz go się nie trzymał, a przyjaciele i towarzyszów uważał jakoby za spółwłaścicieli swego mienia.

Spotkało go też, co i o innym z naszych malarzy opowiadają, że dla zapłacenia długu w trafice cygar musiał trafikantce szyld malować. Dziś może ta trafikantka tym turkiem Grottgerowskim fortunkę zrobić, wtedy skwitowała go z długu. Po kilkoletniej nauce w akademii malarskiej, uzyskał on, co tylko bardzo utalentowanym albo szczególnie protegowanym pozwalają, że mógł mieć w akademji własną pracownię. Tam powstał pierwszy jego obraz, który był zapowiedzią przyszłego kierunku to jest Konfederaci. Obraz ten widzieliśmy we Lwowie, słyszeliśmy wielkie o nim pochwały, a przecież nie znalazł on kupca między rodakami i dostał się w ręce wierzycieli wiedeńskich Grottgera.

Grottger pracował wiele, wzięty był jako illustrator pism obrazkowych i musiał, choć nie bez pożytku dla sztuki, wiele czasu i sił marnować na zarobek dzienny artystyczny, ale długo nie pojawiło się żadne jego dzieło większe odpowiadające oczekiwaniom wzbudzonym przez „konfederatów.“

Dopiero warszawskie wypadki roznieciły w nim na nowo iskrę gienialną i powstała tu rysowana epopeja okropnych dni warszawskich, którąśmy w fotograficznych kopiach podziwiali.

„Warszawa“ Grottgera była nietylko już znamienitem dziełem sztuki, ale okazało się że była czynem politycznym, a Grottger miał sposobność okazać, że z jego wielkim talentem szedł w parze i niepospolity charakter.

Warszawę konfiskowała policja po sklepach a Grottger otrzymał upomnienie z wyższych sfer, że przez przybranie takiego kierunku w sztuce może postradać stypendjum.

Nie dał sobie talent nakazywać i zakazywać przez policję przedmiotów, nie uląkł się charakter groźby policyjnej. Owszem przybrał on stale kierunek patrjotyczny. Nie brał udziału w ruchu narodowym, ale każda chwila tego ruchu, każdy zakątek ojczyzny powstającej odbijał się w duszy wieszczej obrazem zawierającym w sobie tyle prawdy, jak gdyby duch jego ciągle tylko unosił się nad tą ojczyzną i czuwał nad każdem tętnem jej życia.

W odpowiedź na przestrogę i groźbę za wyrysowanie „Warszawy“ wyrysował on „Polonję.“ Groźba się spełniła. Grottger utracił stypendjum, ale Polonja zjednała mu miejsce między strażnikami myśli polskiej. I Polonja przeszła w ręce publiczności to jest zasługą fotografii, że zaś oryginał kupiony został przez cudzoziemca (hr. Palffy) to jest wstydem dla naszych bogaczów. Palffy nabył nie tylko Polonię ale i Grottgera chciał mieć domownikiem swoim. Komuż nieznane te obrazy, gdzie na martwych licach poległych, świeci szczęście śmierci za ojczyznę, lub gdzie (z wielkim zmysłem artystycznym) w grupie płaczących kobiet nie widzisz ani jednej ale czytasz boleść w całym obrazie, widzisz zda się, czego widzieć nie można, łkanie i westchnienia.

Jednym z celniejszych jego utworów w Polonji jest Napad (który na stronicy 5tej zamieszczamy). - Artysta nie wprowadził tu na scenę właściwych aktorów, nie spotykamy tam krwiożerczych moskali, sprawców napadu, ale widzimy całą jego okropność, wypiętnowała się ona na licach osób składających rodzinę polską, rozpacz niewiasty, przerażenie dziecka, niema determinacja starca i energja młodzieży w każdym rysie uprzytomnia nam groźną chwilę napadu.

Niezawisły umysł Grottgera nie dozwolił mu korzystać z gościnności uprzejmego magnata, a pozostawszy na własnem gospodarstwie, pracował dalej i statecznie już talent swój poświęcił tylko obrazowaniu zdarzeń z powstania. Był on żądnym poświęcenia i gniewało go, gdy redaktora pisma ilustrowanego (Postęp) skazano na więzienie a jego tylko na małą karę pieniężną. Jedno z najcelniejszych prac jego z tej epoki jest spącer w saskim ogrodzie. Pomimo, że bywał ciągle w potrzebie, poświęcił dochód z tej pracy, którą puścił na loterję, na korzyść rannych w powstaniu. Możeby ta okoliczność nie była godną podnoszenia, gdyby nie to, że wkrótce potem zmuszonym był uciekać przed wierzycielami, którzy prace znajdujące się w pracowni zajęli.

Znalazłszy gościnne i przyjacielskie przyjęcie w kraju (w Sniatynce i Wróblowicach) użył spokoju, jakiego tu w całej pełni doznawał, na dokonanie nowego szeregu rysunków, w tym samym rodzaju co Warszawa i Polonja. Rodzaj ten stał się już właściwym i wyłącznie Grottgerowskim, jestto jakoby trzecia pieśń obrazowej epopei naszego powstania. Poświęcił Grottger ten szereg prac Litwie i nazwał je „Lithuanica.“

Sceny warszawskie są introdukcyą, prologiem tej całości, Polonia i Lithuanica, podobnie jak te dwie bratnie krainy stanowiły i stanowią zawsze jedno nierozdzielne ciało, jedną ożywione duszą, jedne ze sobą w miłości i poświęceniu dla swojej świętej sprawy, tak też te dwa dzieła uzupełniają się wzajemnie i stanowią jedną całość. W tem leży też wielkość kompozycji Grottgera że obrazy, które inny mierny talent byłby rozerwanie przedstawił, które nawet niepośledni talent byłby oddał jako pojedyńcze świetne chwile naszych dziejów, on spoił w jedną całość, tak że oglądając każdy z osobna nie czujemy wprawdzie żadnego braku, widzimy jedną z chwil goryczy, których niezliczoność spłynęła w pomnik żałoby narodowej. Ale gdy jeden po drugim oglądamy, wtedy widzimy, że należą do siebie.

Tak: gdy widzisz tę niewiastę we wdowiej osłonie ze skutemi rękami i jednego z młodzieńców jak jej więzy rozrywa, a dwóch innych ku wschodzącemu słońcu patrzących i zrywających się gwałtownie ku niemu, poznasz że to matka wspólna trzech braci, że to alegorja ojczyzny trójjedynej: Polski, Litwy i Rusi. Niektórzy zwykli ganić alegorją w sztuce i możebym sam zganił taki rodzaj kompozycji, chociaż musiałbym umilknąć z tym zarzutem w obec świetności wykonania, tej posągowej wydatności w rysunku, tego życia, tej wymowy w każdym nieledwie drobiazgu. Ale spojrzawszy na dalsze obrazy tej teki, widzę że ten obraz jest wstępem, jest przedmową do reszty, artysta nadaje nim reszcie obrazów cechę całości i zapowiada że następują dzieje tej tu żałobnej matki trzech synów — i pytam się wtedy, czy podobna taką myśl uwydatnić artystycznie trafniej, jak przez alegorją. Dalej następuje kucie broni do walki, w puszczy, pod niebem, wśród ciemności i zimy, która rozświeca i ogrzewa tylko żar tlejącego żelaza i zapał co trawi serca gotujących się do walki. Wróg dziki nie mogąc zwalczyć tych kryjących się po puszczach bohaterów, obiera wygodniejszy i podlejszy rodzaj walki — i oto widzimy w zaciszny domek przeniesiony cmentarz, trupy mówiące artystycznym wyrazem i ugrupowaniem, martwota co zamiast dreszczem przejmować wszystkie tętna serca podwaja w tym co na ten obraz patrzy. Dalej ów obraz żalu niewieściego, o którym wyżej wspomniałem i ta pełna dzikości grupa mężczyzn, ostatniej garstki gotowej stawić czoło całej hordzie nieprzyjaciół i poledz ale nigdy nie uledz.

Pomijam dwa inne należące tu obrazy, a które zdają mi się jakoby epizody — bo już te tu wymienione zawierają całe dzieje powstania, najgłówniejsze jego przemiany, które się wszędzie, w każdym Polski zakącie tak samo powtarzały i powtarzały może codziennie. Grottger ich niewidział, ale je artysta odgadł.

Taki to szereg obrazów jest dziś w ręku, ale nieżal nam tego, bo znać go serce wiąże z naszym narodem — tylko wstyd nam, że się u nas nie znalazł, nie mówię już patrjota, ale znawca coby dla sztuki, nie dla polskości jego dzieło to nabył. Ale winienem i naszym bogaczom oddać sprawiedliwość

Kiedy Grottger wystawił we Lwowie swoje Lithuanica, a był wtedy w wielkiej potrzebie i był już chory, nosił już zaród przyszłej śmierci w sobie, znaleźli się jedni co byliby chcieli kupić, jednak nie mogli a nie śmieli Grottgerowi ofiarować ceny upokarzającej artystę. Lecz znaleźli się inni co mogli kupić i mogli bez szkody nawet ofiarować cenę przynajmniej taką, jaką zapłacił cudzoziemiec za Polonję (3000 złr. a. w.) — ci oświadczyli swoją gotowość kupienia Lithuaniki „z litości“ nad Grottgerem za cenę której artysta bez upokorzenia przyjąć nie mógł. Otworzyła się właśnie wystawa paryska. Pojechać tam było Grottgera marzeniem, ale nie miał środków i później nastręczył mu pewien obywatel znany w kraju z popierania nie tylko sztuk, ale wszelkiego życia umysłowego z bezprzykładną u nas szczodrością. Nie mogąc sam jechać posłał Lithuanicę do Paryża i Lithuanika była lepszą orędowniczką dla niego niż wszelkie mecenasy. Gèrome zobaczywszy Lithuanicę, kazał

natychmiast telegrafować Grottgerowi żeby przyjeżdżał, Gèrome sam artysta, który pędzlowi zawdzięcza i zamożność i znaczenie, był uczynniejszym dla obcego artysty niż krajowcy, którym bez pracy spadają dostatki. Gèrome ofiarował się wyuczyć Grottgera używania barw, niewiedząc że Grottger malował także olejno i zapewnił mu wszelkie zaspokojenie pierwszych potrzeb, a potem zaręczał za najlepsze powodzenie.

To się istotnie sprawdziło. Prawda że Grottger przywiózł do Paryża jeszcze więcej niż tam się spodziewano. Bo przywiózł ową Wojnę, którą cesarz austrjacki nabył. Podniósł tu Grottger już sprawę jakoby całego rodu ludzkiego, nie trzymał się tylko dziedziny narodowej. Wojna, ta klęska ludów od czasu jak ludy istnieją znalazła w Grottgerze swego epika, on opowiada ją obrazami. W Paryżu pracował Grottger wiele, przyrzeczenia Géroma wcale go nie zawiodły, ale zdrowie chyliło się z każdym dniem bardziej ku upadkowi.

Ażeby jednak nie pominąć żadnego ważnego szczegółu w tem młodocianem a tak bogatem życiu, musimy jeszcze pomówić o Wieczorach zimowych, które posiadamy w bardzo dobrych fotografiach Szajnoka. Jeżeli Warszawa jest prologiem, to Wieczory epilogiem do Polonji i Lithuanici. Młoda małżonka z dwojgiem dziatek płacząca pod kratą więzienną, ranny powstaniec powrócony z niewoli opowiadający dzieciom, przyszłym walecznikom dzieje powstania, katorżnik kujący bryły, głowa Zbawiciela i Matki Boskiej: wszystko to razem są rzeczywiście atrybuty łzawych, cichych, modlitewnych wieczorów żałoby i wspomnień po wielkiej katastrofie.

Po tych Wieczorach schyliło się słońce jego dni ku zachodowi. Nie była to ostatnia jego praca, ale ona zamyka artystycznie żywot epika malarza, z nią dopełnił on swego powołania.

Pozostało po Grottgerze jeszcze kilka innych niezwykłej wartości prac, z tych jedne jak n. p. inwalid przed posągiem umierającego Napoleona, zwróciły powszechną uwagę; inne, mniej znane, są wszakże godne naszej uwagi, do tych należy skończenie przeprowadzony obraz Sybirczyków, korzystających z dnia świątecznego aby towarzyszowi swemu krzyż nagrobny wyciosać.

Obyż znalazł i on podobnych towarzyszy, którzyby grób jego odznaczyli pomnikiem godnym tego pięknego żywota, godnym jego geniuszu i myśli polskiej, której był malarzem.

K. Widman.

Kościół św. Anny we Lwowie.

Podanie mieszczańskie **)

przez

Karola Widmana.

Wypadek ten sprawił wielkie wrażenie w całem mieście. Paszko wydalony przeniósł się do gospody czeladzi krawieckiej. Tegoż samego jeszcze wieczora były dwa osobne zebrania, oba zarówno burzliwe: jedno mistrzów krawieckich, drugie czeladzi na które i chłopców zwołano.

Przewodzący zgromadzeniu mistrzów cechmistrz wezwał Zapałę do wyłuszczenia powodu, z jakiego prosił o zwołanie cechu. Zapała zabrawszy głos oskarżał Paszka o podstępne wciśnięcie się do domu, przypomniał na dowód lekkomyślności jego, że doszedłszy łaski u plebana i rektora w szkole św. Ducha samowolnie jej się pozbawił, że porzucił zawód, który mu otwierał drogę zaszczytną, nareszcie skończył przemowę swoją w ten sens:

— Dosyć już jest w tem winy, że tajemnie, bez wiedzy i woli rodziców śmiał się zbliżać do mojej dziewki, coby nawet w najżamożniejszym obywatelu zasługiwało na surowe skarcenie, ale mnożąc winy jednę na drugą poważył się będąc ledwie robieńcem *), podnieść oczy na córkę moją. Zapobiegłem wprawdzie shańbieniu imienia mego, jednak proszę aby dla zadośćuczynienia obrazie którą mi wyrządził, dla przykładu w obec wszelkiéj czeladzi, żeby się nie ośmielał żaden do córki mistrza swego, dopóki sam nie dostąpi mistrzowstwa i obywatelskiej godności, nareszcie dla uchronienia innych od zapędów tego śmiałka, sławetny cech uchwalił wykluczenie Paszka z cechu i wydalenie raz na zawsze ze Lwowa.

Zaledwie kilka głosów ozwało się na korzyść Paszka. Wszyscy potępiali zuchwalstwo jego, wielu żaliło się w ogólności na rozzuchwalenie czeladzi i domagało się oprócz wydalenia Paszka, w ogóle obostrzenia dyscypliny dla czeladzi i chłopców oraz zniżenia płacy.

Większość cechu uchwaliła rzeczywiście wydalenie Paszka ale nie chciała mu zamykać drogi do nabycia praw obywatelskich, jako posiadającemu jaką taką naukę i dobre przymioty, których mu sam Zapała nie odmawiał. Miał bowiem były żak Paszko kilku protektorów. Zapewniono więc Paszkowi wolność powrotu, gdy się wyzwoli gdzie indziej na mistrza i okaże godnym obywatelstwa lwowskiego. Płacy dla czeladzi nie zniżono, lecz obostrzono dyscyplinę.

Na zgromadzeniu czeladzi wysypano wszelkie skargi na mistrzów i nie przepomniał żaden jakiejkolwiek kiedy doznał od swego mistrza przykrości. Zamierzono tedy zrazu domagać się rozmaitych ulepszeń w obejściu się, wyższej płacy i przywrócenia Paszka do warsztatu Zapały.

Jednak Paszka powodowała miłość dla Anny i wzgląd na przyszły do niej stosunek do zaskarbienia sobie łaski Zapały, równie jak innych, przez pokorę. Obznajmił on więc towarzyszom, że jakkolwiek pokrzywdzony, czuje on się winnym gdyż bez pozwolenia rodziców zbliżył się do Anny. Pomny groźb Zapały, obawiał się ażeby przez butę i hardość, nie wywołać wyroku, który rzeczywiście już był zapadł. Wniósł tedy Paszko, aby się czeladź udała gromadnie nazajutrz do cechmistrza z prośbą o przebaczenie Paszkowi jego winy, przyczem on sam chciał się zdać na wyrok cechu, choćby najostrzejszy, byle mu pozwolono pozostać we Lwowie.

Trafiło to na opor. Większa część czeladzi a najbardziej najmłodsi chcieli koniecznie wyjednać przy tej sposobności zwolnienie dyscypliny, wielu było przeciwnych zupełnie pokornym prośbom i chciało groźbą ustąpienia z miasta wyjednać pozostawienie Paszka w miejscu.

Przeważyło zdanie średnie: ażeby prosić za Paszkiem, ale przytem żądać zwolnienia dyscypliny.

Następnego dnia rozeszły się głuche wieści, o wyroku cechu, Paszko i wszelka czeladź zostali powołani przed zgromadzenie mistrzów dla wysłuchania uchwały.

Tak tedy stanęły dwa obozy naprzeciw siebie. Przed domem gdzie się cech zgromadzał, był już wcześnie z południa ogromny tłum ludu zebrany. Pospólstwo bywa zwykle tak usposobione, że trzyma stronę podwładnych. Opinja uliczna była tedy za czeladzią. Głuchy szmer jakoby szum fali wzburzonej panował w tłumie i ruch ustawiczny nadawał mu rzeczywiście postać wezbranych wód. Na znak dany w sali radnej cechu wszystko ucichło. Najstarsza czeladź, wśród niej Paszko, weszła do sali. Reszta cisnęła się około drzwi i zapełniała sień, schody i całą przedsień dolną aż na ulicę. Cechmistrz przemawiał, ogłosił treść wyroku. Powstał szmer głośniejszy, podawano sobie z ust do ust słowa cechmistrza, główną treść wyroku, zaczęto natychmiast objawiać swoje zdania o tem, tu i owdzie dał się słyszyć żywszy okrzyk niechęci, lecz wkrótce nastąpiła znowu cisza.

— Paszko mówi w imieniu czeladzi, szeptano sobie.

Paszko oświadczył się gotowym do upokorzenia, a nie śmiejąc wnosić wymagań czeladzi, ustąpił głosu innemu, który w imieniu wszystkich wsparłszy prośbę Paszka, wniósł domaganie się zwolnienia dyscypliny.

Cechmistrz odpowiedział łagodnie ale stanowczo, że oświadczenie Paszka nie może zmienić wyroku cechu, jednak uwzględniając jego pokorę będzie zapewne cech na przyszłość skłonniejszym do pozwolenia na powrót jego do miasta, co zaś do zwolnienia dyscypliny, oświadczył, że takowe żądanie jest zuchwałe i jeżeliby kiedy zasługiwało na uwzględnienie, to najmniej w obecnej chwili. Na to w odpowiedzi dało się słyszyć mruczenie między czeladzią, głuche niepe-

---

*) Robieńcem był uczeń niedawno wyzwolony, który dopiero po pewnym czasie zostawał towarzyszem t. j. czeladnikiem.

**) Obacz Nr. 11 i 12 (1867 r.)

wne, niewyraźne lecz dostateczne, ażeby mistrzowie poznali, że ich wyrok wzbudził niezadowolenie. Jeden tedy z mistrzów, uprosiwszy sobie głos u cechmistrza, odezwał się gromiącemi słowy, że czeladź winna słuchać nie mruczyć; po nim przemówił wpodobny sposób Zapała, przyczem dodał, że nie pozwoli nigdy, ażeby Paszko powrócił do Lwowa, gdy zaś dokończył temi słowy:

— Komu się nasz wyrok nie podobał, temu wolno odejść z Paszkiem, ale nie wracać więcej,

Słowo to wypowiedziane z uniesieniem, wywołało podobneż uniesienie między czeladzią i jak pojedyńcze wystrzały z pośród szeregów zagrzmiało w kilku miejscach z pośród tłumu.

— Pójdziemy.

— Pójdźmy, wołali gorętsi.

— Precz z tąd zuchwalcy, wykrzyknął jeden z mistrzów.

— Chodźmy!.. odkrzyknęła hucznie czeladź i jak na dane hasło, runęło wszystko po wschodach na dół, na ulicę dalej z całym tłumem wśród okrzyków ku bramie tatarskiej (tak jeszcze w XV w. nazywano bramę później krakowską).

Koło bramy i na bramie stała straż miejska. Widok tejże zdawał się wpływać na zmianę postanowienia i udano się tłumami do gospody czeladnej.

Cechowi zostali nagle sami, przez chwilę milczeli jakoby nieporadni, nareszcie zaczęli ci i owi między sobą rozmawiać półgłosem, i powstał w sali szmer wtórujący głuchemu szumowi, dochodzącemu z ulicy. Nareszcie cechmistrz uderzył kilkakrotnie laską w podłogę dając znak uciszenia się i wniósł, ażeby się udać na ratusz i prosić senat miejski o radę.

Cechowi udali się na ratusz. Tłumy pospólstwa podzielone na mniejsze kupy, stały tu i owdzie po ulicach i o każdym kroku jednego z obudwóch obozów rozchodziła się zaraz wiadomość lotem błyskawicy z jednego końca miasta na drugi. Tak dowiedziała się czeladź zgromadzona, że cech cały in gremio poszedł na ratusz.

Poczęło się już zmierzchać, nocy przepędzić w gospodzie nie mogła czeladź, obawiała się oblężenia ze strony straży miejskiej, należało więc powziąć postanowienie przed nadejściem nocy. Po krótkiej a burzliwej naradzie stanęła uchwała, aby miasto opuścić jeszcze przed zamknięciem bram. Chłopcy mieli pozostać, aby nie pomnażać tłumu, nareszcie i dla własnego dobra, aby dopiero po wyzwoleniu na czeladników udawać się w świat, gdyż teraz nie znaleźliby nigdzie przyjęcia. Nie wszyscy jednak chłopcy byli posłuszni tej uchwale. Wyruszyła więc czeladź a wiadomość o ich wyjściu przebiegła całe miasto i do zasiadającego właśnie na ratuszu senatu.

Zposępnieli ojcowie miasta na wiadomość o tym buncie, który przypodobniali niektórzy do sławnego w starodawnym Rzymie ekscessu pospólstwa, który Agrippa mądrem słowem odwrócił. Uchwalono: gdy to nie cały lud jest w sprzeczności z wolą senatu, ale garstka zbuntowanej czeladzi, nie szafować słowy w obec niesfornej młodzieży, ale dać jej uczuć potęgę ogółu i siłą zawrócić do miasta. Otrzymał więc naczelnik straży nocnej, proconsul nocturnus, polecenie, aby z uzbrojonemi pachołkami miejskimi wstrzymać ucieczkę czeladzi krakowieckiej.



Kościół św. Anny we Lwowie.

Czeladź przygotowana do oporu była także uzbrojoną. Przyszło więc za murami miasta w obrębie tak zwanych „obszarów“ t. j. pól za miastem leżących do starcia, w którem jak wiadomo kilku czeladzi poległo.

Reszta widząc poległych towarzyszów straciła ducha, złożyli więc broń i z powiązanemi z tyłu rękami zostali jako jeńcy wprowadzeni do miasta.

Gdy to zaszło, była już noc, a jednak miasto było w ruchu. Wyrok senatu miał wielką powagę u mieszczan, a głos publiczny przechyla się zbyt łatwo na stronę zwycięzców. Pospólstwo przedtem tak przychylne czeladzi, patrzało z ciekawością na orszak smutny wchodzący bramą krakowską i ku ratuszowi idący. Noc ta i dzień następny były to chwile żałobne. Wychodzono za miasto oglądać poległych lecz nie śmiał nikt ich dotykać, póki senat wyroku nie wyda. Łez płynęło wiele, ale były to raczej łzy cichego poddania się smutnemu wyrokowi niż żalu do władzy. Bo władza ta działała surowo ale po ojcowsku, a była to władza swojska, macierzysta.

Wyrok senatu zapadł rychło. Czeladź pojmana została uwolnioną po przykładnem ukaraniu na ratuszu, poległych pochowano na miejscu gdzie padli, nieodmawiając im religijnych obrzędów. Pozostali towarzysze musieli im sami groby kopać i złożyć ich w takowych; któremu to wyrokowi poddali się z bogobojną skruchą. Powrócił każdy do mistrza swego a wyrok cechu został zatwierdzony, a zatem i obostrzenie dyscypliny dla czeladzi i wydalenie Paszka z miasta.

Paszko opuścił więc miasto — Anna została w klasztorze.

Ojciec Anny nie dał się długo przebłagać aby zezwolić na jej powrót. Dopiero gdy się zgłosił pewien szlachcic o rękę bogatej mieszczki, postanowił wziąć ją do domu. Lecz Anna oświadczyła, że chce ślub zawrzeć inny, świętszy niż wszelkie świeckie śluby. Zamiast więc stanąć przed ołtarzem jako oblubienica rozpoczęła nowicjat. Było to już trzy lata po smutnym ekscessie czeladzi i wyjściu Paszka w obczyznę.

Pół roku już była strawiła w nowicjacie Anna, gdy Paszko powrócił do Lwowa jako mistrz pod nazwiskiem Pawła Jelonka. Prosił on o przyjęcie go do cechu krawieckiego.

Zapała nie mógł się wprawdzie pozbyć pewnego żalu do Paszka, jemu bowiem to przypisywał, że córka jego świat sobie zawiązała przez wstąpienie do klasztoru; a był wtedy Zapała właśnie cechmistrzem. Jednakże nie było to rzeczą stósowną pozbawiać się współobywatela, który takie umiał sobie zjednać protekcje i takie związki z patrycjuszami Genuy i Wenecyi jak Jelonek.



Napad, jeden z celniejszych obrazów Artura Grottgera zamieszczonych w Polonji.

Paszko bowiem poszedł w ślady innych lwowskich mieszczan, którzy utrzymywali sławę w świecie przemysłowym i kupieckim sławę i znaczenie swego miasta i sławę też ojczyzny przez związki nawzajem poszukiwane i nietrudno było we Lwowie rozmówić się jakimkolwiek językiem Europy. Od Szkotów północnych zacząwszy aż na południowych Hiszpanach, Włochach i Grekach. Niemasz w Europie narodu, któryby nie dostarczał miastu temu osad, a wszystko ulegało tu polskiemu zwyczajowi i obyczajowi. Każdy tedy wychodzący ze Lwowa wędrownik otrzymać mógł z łatwością od osiedlonych tu obcych rzemieślników i kupców lub od potomków ich listy do krewnych i towarzyszów zawodu za granicą.

Toż Jelonek korzystał z tego a odchodząc ze Lwowa wyniósł przynajmniej z sobą listy otwierające mu przystęp do niejednego domu mieszczańskiego od naszych: Krakowa, Poznania, Gdańska już zacząwszy, przez Bremę, Norymbergę i całe Niemcy do Marsylji, Genuy Florencji i Wenecji. Nie bez korzyści była dla niego ta wędrówka. Nabył oświaty i poloru wszędzie z właściwą Polakowi chciwością, przyuczał się obcych języków i czerpał naukę, którą niedostatecznie poznał w kraju, ale właściwszej tuziemcom niż innym narodom głęboko w serce wkorzenionej miłości do swego kraju — której nie wyrugują żadne bogactwa i korzyści ani związki najświetniejsze.

Nie brakło namów, nie brakł miłośnych związków Paszkowi w obczyźnie, które go zmusiły do porzucenia ojczyzny, gdzie doznał tyle bolesnych zawodów i tyle chwil gorzkich. Ale jako dobrze prowadzony syn tęskni za rodzicielskim domem choćby go zeń wygnała ręka gniewnego ojca i jak z radością powraca pod jej władzę, gdy mu dozwolono, pomny że sam kiedyś ojcem będzie — tak w dobrze urządzonej Rzeczypospolitej nie traci obywatel choćby wygnany i pokrzywdzony nigdy serca do macierzystego gniazda, gdy wie że i on może mieć wolny głos w jej sprawach, a będąc dobrym synem może się stać ojcem ojczyzny.

Wielką by też krzywdę Paszkowi wyrządził, którego cały Lwów powitał dawnem pieszczotliwem jego mianem, ktoby sądził że nie miłość do rodzinnej ziemi, ale jakie inne widoki nęciły go do powrotu. Na rękę Anny nie mógł on mieć nadziei. Po trzechletnim nowicjacie nie wątpił cały zakon sióstr Bernardynek, nie wątpiła Anna sama, że wkrótce uczyni śluby zamykające jej raz na zawsze wstęp do roskosznego świata, wstęp do łona rodziny. Nie wątpił też o tem Jelonek.

Rok po powrocie Paszka był rokiem próby obywatelskich cnót Lwowian, ich miłości do wspólnej matki — Rzeczypospolitej.

Wołosza nienasycona w zemście, nie zadowolniła się okropną klęską zadaną w r. 1497 Polakom pod królem Janem Olbrachtem w lasach bukowińskich. Stefan, hospodar multański bądź chciwy łupieztwa i sądząc Polskę osłabioną zeszłoroczną klęską, bądź może chcąc zmazać hańbę podstępnego na Polaków napadu przez otwartą walkę, napadł wstępnym bojem Pokucie i pomknął się wśród zniszczenia ziemi czerwono-ruskiej aż po za Lwów. Przypuścił on szturm i do Lwowa 13 Maja, ale w warowniach miasta a nadewszystko mieszczan waleczności znalazł tak dzielny opór, i odebrał od Lwowian tak sowitą odpłatę za niezmierne łupieztwa popełnione w kraju, że unosząc ogromne łupy cofnął się z tłuszczą swoją aż w granice własnego kraju.

Nie pierwszy i nie ostatni raz oparł się Lwów napadom nieprzyjacielskim. Między najwaleczniejszymi obrońcami wymieniało całe mieszczaństwo z wdzięcznością imię byłego żaka Paszka.

Już we dwa miesiące, w Lipcu tegoż samego roku, (było to roku 1498) wpadli Tatarzy do kraju zwykłym od dwóch wieków już trybem i znaleźli we Lwowie nieprzełamaną przeszkodę dalszego pochodu, a porażeni powrócili do swoich stepów. Rana w twarzy zapisała napad ten niezatartem znamieniem w życiu Paszka a waleczność jego w pamięci współobywateli.

Jakoby na domiar prób i dla przysporzenia blasku waleczności Lwowianom a chwały Paszkowi zesłała opatrzność, niezbadana w swoich wyrokach, tegoż roku jeszcze w jesieni tłumy wrogów chrześcijaństwa na Polskę.

Po raz trzeci w jednym roku wytrzymał Lwów oblężenie a przez opór, który stawił Turkom, zniewolił ich do odwrotu wśród zimy.

Wtedy opatrzność zlitowała się nad nieszczęsnym krajem, zesłała na wracających tak srogie zimna i śniegi że (jak mówi Bielski) „krom koni i dobytków ludzi samych więcej niż przez czterdzieści tysięcy od zimna zdechło.“

Dzięki więc opatrzności odetchnęła Polska z trwogi dalszych w tym roku napadów, a Lwów ocalony walecznością mieszczan był tu nieposlednim narzędziem w ręku Bożem.

Paweł Jelonek odznaczający się między innymi obywatelami dzielnością, odniósł ranę w ramię od strzały. Młodego bohatera sława przebiła mury klasztoru i przemknęła się przez klauzurę w głąb klasztoru, gdzie serce nowicjatki gotującej się właśnie do ślubów zakonnych zadrzało dawno niedoznanem życiem a dusza jej rozgorzała ponownie silniejszą niż kiedykolwiek tęsknotą za światem.

Życie światowe ma pomimo goryczy i boleści tyle ponęty dla nas, że człowiek powaśniony z niem zupełnie trudno bierze z nim rozbrat, nie dopieroż młodociana dusza, której się cała przyszłość uśmiecha a którą oczekują otwarte ramiona i kochające serca z utęsknieniem aby je otoczyć najżywszej miłości staraniami.

Na wieść o powrocie i walecznych czynach Paszka stanęła przed oczyma cała przeszłość jej tak błoga a przyszłość takim się ozłociła blaskiem, że złamała postanowienie, którego przedtem ani przebaczenie rodziców ani ich miłościwe namowy ani przyjaciół perswazje zwichnąć nie mogły. Powróciła przyjęta w domu jakoby z grobu wrócona a nie bez żalu przez towarzyszki zakonne pożegnana.

Nie tail się już Paszko więcej z namiętnością dla Anny nieugaszoną długim rozdziałem i tyloma zmianami losu — nie taiła się i Anna z miłością, którą tylko z wielkiem zaparciem się siebie chciała pod zasłoną mniszki zanieść przed ołtarze pańskie.

Zamiast obłuczyn odbyły się zaślubiny. Na weselu swojem chciał Jelonek zgromadzić wszystkich towarzyszy owej tak nieszczęsnej przygody, która go uczyniła wygnańcem i rozłączyła na długo z Anną.

Gdy wśród wesołego rozgoworu rozpamiętywano ową przygodę, okazało się, że wszystkim towarzyszom takowej, którzy przez następny żywot zatarli błąd młodości, dozwoliła opatrzność dopiąć szczęśliwego losu i obliczono się że znaczna ilość ówczesnej krnąbrnej czeladzi zasiadała dziś w gronie cechowych. Na wniosek bogobojnej panny młodej pomyślano tedy i o zbawieniu dusz poległych onej pamiętnej nocy na obszarach i postanowili mistrzowie krawieccy w części dla zupełnego zatarcia swojego błędu, głównie zaś dla dobra dusz poległych w niezaszczytnej klęsce towarzyszów i dla nauki potomności założyć w owem miejscu kościół pod nazwiskiem Ś. Anny, patronki panny młodej.

Rada miejska udzieliła chętnie pozwolenia a nawet ofiarowała na budowlę drzewa z lasów miejskich, ażeby okazać, że ojcowie miasta jeżeli karzą winnych, to jednak nigdy nie mają na myśli zemsty ale owszem wszelkie ich dobre zamysły najusilniej popierają.

W kilka lat później (w roku 1507 jak świadczą akta miejskie) kościół św. Anny ukończony i poświęcony został służbie Bożej.

W roku 1509 spalili ten kościół Wołosi — ale cech krawiecki nie ustawał w bogobojnej gorliwości. Wystawiono kościół murowany. Kościół zostawał za polskich czasów zawsze pod opieką cechu krawieckiego.

Rodzina Jelonków stała się jedną z pierwszych rodzin lwowskich i zapisana jest w dziejach miasta różnemi czynami, których pamięć zachowując podamy o nich gdzie indziej wiadomość.

W roku 1641 oddało miasto duchowną opiekę kościoła św. Anny mnichom św. Augustyna, którzy tu wybudowali swój klasztor wszakże dopiero w lat trzydzieści (r. 1671) osiedli tu stale.

Zakon ten został z wieloma innymi zniesiony za austrjackich rządów a o dzisiejszym jego stanie wspomnieliśmy na początku naszego wspomnienia.

Koniec.

Kronika prowincjonalna.

Z małego miasteczka — w Grudniu 1867.

Darujecie mi może, że wkradnę się w prawa waszego bajarza tygodniowego i przeszlę wam parę szkiców z życia małego miasteczka.

Ależ bo i prowincja ma swoje prawa i ona chciałaby, aby o niej pamiętano, lubi i powinna się od czasu do czasu przypomnieć matce stolicy, aby ucieszyć staruszkę i zaspokoić troskliwą jej ciekawość o losie wiejskiej i małomiejskiej jej dziatwy.

Otóż w miasteczku, z którego właśnie piszę, panuje w tej chwili cisza, jak nieprzymierzając, przed stworzeniem świata. Od czasu tylko do czasu przeleci z gwizdem wicher przez obszerny czworogranny rynek, podsypując śniegiem niżej położone okna pomniejszych domów.

W jednym z tych domów siedzę z moją rodziną koło ciepłego piecyka i piszę. Żona zajęta czytaniem jednego z ostatnich Nrów Tygodnika Lwowskiego, kilkoletnia córeczka usypia w kąciku ulubioną lalkę i śpiewa.

Zdaje mi się, iż w tej chwili anioł opiekuńczy mego domu stanął nad nami: jasny, wzniosły, spokojny i łagodnie się uśmiecha. Szczęście domowe to największe szczęście tego świata. Patrząc w pełną dobroci, pełną poświęcenia twarz mej żony, przypatrując się niewinnym rozrywkom mego dziecięcia, czuję się szczęśliwym i spokojnym.

Mieszkańcy wielkich miast, mieszkańcy stolicy... wy nie znacie w całej pełni szczęścia domowego. Was ciągłe rozrywki wyrywają nieustannie z łona rodziny, której więcej gośćmi niż stałymi członkami zwać się możecie.

Ten ruch, ta wrzawa całodzienna, co dolatuje do mieszkań waszych, nie daje wam spokoju, porywa ze sobą i opuszczacie żonę, dzieci, aby niestety często całe godziny trawić na próżniaczem deptaniu po ludniejszych ulicach, gapieniu się nad pięknemi wystawami sklepowemi, lub piękniejszemi jeszcze może oczkami mieszkanek stolicy.

Macie księgarnie, biblioteki, czytelnie pełne ksiąg a czy ich czytacie? Ileż to u was wychodzi czasopism politycznych, z których pierwsze trzymacie chyba dla powieści a z drugich cóż więcej nad kronikę i telegramy czytacie?

Biedni redaktorowie smażą sobie mózg nad wysoko mądrymi artykułami wstępnymi, abyście nad nimi przeszli bez czytania ich do porządku dziennego.

Największém zdarzeniem oczekiwaném z biciem serca, omawianém po tysiąc razy jest spodziewany przyjazd jakiej sławnej śpiewaczki lub baletniczki, co najwięcej koncert jaki amatorski na cel dobroczynny, poczém znów z nudów sobie ziewacie.

Biedne dzieci! wam by ciągle trzeba cacek i cukierków a czasem niema ich za co kupić!...

My nie tacy wybredni. Cichy kącik domowy, zajmująca książka lub czasopismo, czasem jaki dobry znajomy przybywający w odwiedziny, to wszystkie nasze przyjemności. Siedzimy więcej w domu, więcej on nas cieszy, bo miasta nasze małe, ciche, bez owej zajmującej ruchliwości i rozmaitości miast większych zająć nas dłużej nie potrafią.

Więcej skupieni w sobie, bo ograniczeni na cichy światek kółka rodzinnego, więcej się nad sobą zastanawiamy, i nad przeznaczeniem i o obowiązkach naszych myślimy. Czasami wśród tych rozmyślań posmutniejemy, bo uczyjemy, że społeczności małomiejskiej brak łączności, że jakkolwiek niewielka rozstrzeloną jest na rozliczne koła i kółka, aby w końcu jak fala roztopić się w nicości.

Tak nas mało, a tak nie wiele między nami zbliżenia i zgodności w naszych dążeniach.

Mieszkańcy miast większych mają przynajmniej owe stuczne ogniska towarzyskie skupiające ich ze sobą, resursy, kasyna, czytelnie; w mniejszych miasteczkach jakże nieraz trudno o utworzenie podobnych kółek towarzyskich o inicyatywę.

Niedawno temu ktoś dobrze piszący ale niestety nie zawsze dobrze czyniący, uczynił w jednem z naszych czasopism wniosek założenia po miastach większych czytelni i bibliotek powiatowych, gdzieby wszystkie warstwy społeczności czerpać mogły oświatę.

Piękna ta myśl pozostanie zapewne tak samo nieurzeczywistnioną, jak tyle innych równie pięknych i szlachetnych pomysłów...

Byłbym nie wiem jak długo nudził was w podobny jak dotychczas sposób szanowni moi czytelnicy, gdyby nie straszny huk który w tej chwili pomieszał mi zupełnie szyki i przerwał wątek dalszych rozmyślań. Bito z moździerzy aż szyby zabrzękły, na cześć nowo wybranego prezesa rady powiatowej.

Jakieś dziwne uczucie zapału czy też ambicyi owładnęło mą duszą; zdawało mi się, że to ja jestem owym prezesem, że stoję otoczony mymi wyborcami, wzruszony oznakami zaufania, przejęty ważnością wypełnić się mającego przezemnie zadania, w te do nich odezwałem się słowa:

Moi panowie!

„Zawiązał się znów jeden łańcuch mający połączyć silnemi ogniwy jedności i wzajemnego zaufania wsie, dwory i miasta. Niechaj że on będzie łańcuchem elektrycznym, co dreszczem miłości i braterstwa przejmie dłonie dzieci jednej matki, co po długich cierpieniach odżyć w nich może, jeżeli w zgodzie i z poświęceniem dla niej pracować będą.

Do pracy więc za którą serce się rwie, za którą dech w piersi z zapału zamiera, do najświętszej najzacniejszej pracy około dobra kraju, około dobra ukochanej naszej ziemi rodzinnej.

A kto pod brzemieniem tej pracy ulegnie z przeświadczeniem, że rzetelnie służył krajowi, kto w tej walce duchowej ostatnie tchnienie w jego usługach poświęci, ten skona równie zaszczytnie, jak konają bohaterowie w obronie ojczyzny na polach bitew ginący.

Panowie! Słyszę strzał. Tak czasem nad grobem strzelają; nad grobem, gdzie wszystko się kończy, gdzie ustają wszystkie urazy, wszystkie niesnaski i duch przebaczywszy wszystkie bóle, płynie czysty ku Stwórcy, jak spłynął na świat z łona jego.

Niechajże duch nasz w pracy około dobra kraju zbliża się do tej czystości swej Bożej, niech przebacza wszystkim wszelkie złe od nich doznane i kroczy z nimi naprzód nie zatrzymując się ani na chwilę z wzrokiem wlepionym w jeden cel, w zdobycie największej pomyślności dla ziemi rodzinnej."

Domawiając tych słów posłyszałem płacz za drzwiami mego pokoiku.

Jakiś biedny, blady, drżący od zimna rusinek od Dukli z jasnymi na ramiona spadającymi splotami włosów i niebieskiem melancholicznem okiem, w szarym płaszczu z graniastą białymi frendzlami obszytą peleryną, ukazał się przedemną gdym drzwi otworzył, prosząc o jałmużnę.

Chata mi zgorzała, matka z troski zaniemogła i umarła a ojciec z drobnémi dziećmi tuła się po ludziach, żebrząc litości.

Patrząc w piękną, łagodną, cierpieniem tak wcześnie napiętnowaną twarz dziecka wręczyłem mu wsparcie. Skłonił się tym wdzięcznym pokornym ukłonem ruskiego ludu, spojrzał na mnie tém pogodném niebieskiem okiem i milcząc wyszedł z pokoju. Ja długo myślą szedłem za nim; widziałem go jak pochylony, drżąc od zimna, brnął po iskrzącym się do słońca, stwardniałym śniegu, gdzieś daleko, daleko.

Czasem zmęczywszy się przystanął, popatrzył gdzieś po za siebie, jakby ku swoim braciom, ku siostrom, ku ojcu swemu i wtedy zdało mi się, że jedno z tych łzawych tęsknych spojrzeń padło na mnie.

Czułem że oko mi mgłą zaszło, że serce biło mi silniej, że w duszy mej rozbrzmiała jakaś rzewna pieśń, niby jedna z tych smętnych porywających swym czarownym wdziękiem dumek ruskiego ludu.

Pieśń ta brzmiała coraz głośniej, rozbrzmiewała coraz silniej, serce mi rozpierała, głowę mi rozpalała i wybuchła serdecznym płaczem.

Skryłem głowę w obie ręce i płakałem.

Już wieczór był, ciemno było do około, tylko księżyc zeszedł i wpuścił kilka srebrnych promieni światła, do mego pokoju.

W tej jasnej aureoli miesięcznego światła, ujrzałem znów mojego bladego wędrowca jak zmierzał ku jakiemuś staremu wspaniałemu grodowi, posłyszałem jak drżące usta jego brzmiały tą samą pieśnią, którą pierwej dusza moja śpiewała.

Naprzeciw rusinka szedł z owego grodu wesoły zuchowaty krakowiak, z czerwoną na ucho wsadzoną magierką przystrojoną pawiem piórkiem, wyśpiewując jednego z tych dziarskich krakowiaków co chwytają za serce.

Obaj młodzieńcy nagle się spostrzegli i pieśni ich wibrujące i mieszające się w powietrzu jak głosy dwóch skowronków nagle ucichły, pobledli, oczy w dół spuścili i przystanęli.

Lecz patrz jak im pierś faluje, jak usta im drżą, jak łzy wilżą im oczy, patrz jak spojrzeli ku sobie, rzucili się ku sobie i stopili usta swoje w wzajemnym pocałunku.

* *

Wielki stary gród patrzył na święty akt zgody dwojga braci. Głosami dzwonów wszystkich świątyń swych błogosławił im przyszłą drogę żywota, poważnym grobowym głosem starego Zygmunta przypominając dotychczasową niedolę upominał do wytrwania w zgodzie i miłości.

* *

Marzenie moje minęło, spostrzegłem się, że zamiast udzielenia szkiców z życia małego miasteczka, utonąłem w jakichś dziwacznych marzeniach i zapomniałem o moich czytelnikach.

Drugi raz się za to poprawię.

Ezechiel Zgrzęda.

II. Rada familijna w Pacanowie.

Rada familijna więc nie lada!
Przeto członków ogłosić wypada;
By przekazać wiernie potomności,
Rzadkie w narodzie znakomitości?!

Z panów młody,
Dla osłody
Marszałkuje;
I buduje
Na lód zamki,
Z czego szwanki; —
Więc ratują
Protegują
Niezachwianie
Ormianie! —

Są dwóch braci
Obaj chwaci;
Jeden smętny,
Drugi skrzętny,
W każdej sprawie
I wyprawie
Udział brali; —
Narażali?!
Całe mienie
Na skinienie;
I swe życie pono
Pro publico bono?!

Pan Bajdała
Plapla cała;
Wszystkich bawi
Kiedy prawi,
Słówek kilka
Że ma wilka
I papugę
Na usługę

Jest tu gładki;
Dudek rzadki;
Miodek warzy
Gdy się darzy —
A przy warce
Gospodarce,
Miewa okruszyny
Z drogi i mościny. —

Pan sędziwy
Dość szczęśliwy
Bo zabrawszy
I wydawszy,
Pieszczot swoje
Córek dwoje,
Tak się nudził
Że marudził;
Więc wskazano
By wybrano,
Familijnem torem
Jego senatorem.

Takie w kraju rzadkie wzory,
Poszły razem w senatory;
Tworząc radę nad radami —
Boże zlituj się nad nami! —

. . . . . *z Rzeszowa.*

Jenerał-bas.



Artystka: Czy pan jenerał grywa?
Jenerał: Nu da ja charaszo igraju faraona!
Artystka: A czy i jenerał bas panu znany?
Jenerał: O ja jewo jeszczo znał kogda był praporszczykom! —

Trzy wyjątki z historji spółczesnej
popularny odczyt opisany wierszem przez nie-Schmitta.

Rok 1865.

Gdy Mensdorf z Sowizrzałem rozpoczął bój krwawy
Ostatni swoich posłów posłał do Warszawy
Prosząc u króla Jana czwartego pomocy.
Ten zaraz z swemi hufy wyprawił się w nocy
I zawarłszy z warszawską przykupką przymierze
Po swojemu bił wrogów odważnie i szczerze
A kiedy zaświtało dwunaste zaranie
Już Mensdorf był pobity w samym Gapistanie
Gdzie plamiąc swoją pamięć rejterady czynem
Zwiesił głowę na włosach pod samym Londynem
Tam Wiktusia wielbiąc kuzynka wojenne uczucie
Kazała go pochować w miejscowym kierkucie.

Rok 1866.

Kiedy Kara Mustafa wielki mistrz krzyżaków
Szedł z licznemi zastępy przez Trutniów na Kraków
Do obrony ojczyzny zawsze będąc dobry
Pobił go na Ropczycach król — Kazimierz chrobry
I bitny nieugięty twardy jak opoka
Zabrał z innemi łupy i Pawła de Koka,
Goniąc przez trzy miesiące w całym pędzie koni
Uciekających wrogów aż do Paflagonji. —
Tam królowa Helena pani wielkiej cnoty
Bawiła go w stolicy przez cztery soboty
A mąż jej bohaterski Mir-osła -(wa) dziecię
Robił przegląd rycerstwa — już o białym świecie.

D. c. n.

Antologja frazesów dziennikarskich. Noworocznik na rok 1868 dla nie-czytającej publiczności wychodzi z dniem 1szym Stycznia r. b. w codziennych odbitkach i jest do nabycia każdego czasu u podpisanego wydawcy i autora.

Autor po wieloletnich studjach i poszukiwaniach zoologicznych, zebrał kilka nowych rodzajów zwierząt dwunożnych a bezrożnych — i moc owadów do rzędu których należą bąki i kiksy (vulgo kogutki); poświęca się również z zamiłowaniem krytycznym rozbiorom, ile kiksów jednego wieczora przecisnąć się może przez gardło artystyczne przeznaczone do oper — i konstatuje bąki strzelane przez wszystkie europejskie dzienniki z wyjątkiem gazet subwencjonowanych.

Noworocznik ten aż do końca r. b. sprzedaje się po bardzo umiarkowanej cenie obok oberży pod trzema dudkami — vis-a-vis komory celnej — wpodle domu obłąkanych — w dawnym obwodzie Ryczywolskim.

Z uszanowaniem
Pla-pla Ko-ko-ko-ko-gucik.

SPIS PRZEDMIOTÓW:

J. Osiecki, wydawca. Redaktor odpowiedzialny: Dr. H. Jasieński. Druk E. Winiarza.